

## Nawet diabeł zapłacze...

Autor tekstu: **Kamil Szpyt**

*Bóg umarł.*

Fryderyk Nietzsche



Siedzieli w bezruchu, ramię przy ramieniu, brat koło brata.

Pogoda była naprawdę piękna, co chwilę powiewał delikatny wietrzyk, ochładzając rozgrzane, lipcowe powietrze. Po niebie przesuwaly się leniwie chmury, zupełnie nieświadome zachodzących pod nimi zmian. Mężczyźni znajdowali się na wzgórzu Anavan, które górowało nad Świętym Miastem. Nie rosły tutaj żadne drzewa czy krzewy, jedyną roślinność stanowiła wybujała, panosząca się wokoło trawa.

Archanioł Gabriel przesunął po niej ręką, napawając się jedwabistą miękkością. Wyglądał na trzydzieści, trzydzieści pięć lat, ubrany w jeansowe spodnie i t-shirt bez nadruków. Mlecznobiałe, proste włosy spływały na ramiona, delikatnie podkręcając się na końcach. Niebieskie oczy, prosty nos i wąskie usta. Do tego szczupła, pozbawiona muskułów sylwetka. Jego towarzysz był całkowitym przeciwieństwem: dwudziesto-paroletni, niższy, nieco krępy, ubrany we flanelową, rozpiętą na piersi koszulę, skórzane spodnie i kowbojki. Rozwichrzone, czarne kędziory sterczały na głowie, każdy w inną stronę. Lewy policzek przecinała biegnąca od nosa do szczęki paskudna blizna.

Po kilku próbach zapalił wreszcie kolejnego Pał Mala, przeklinając w myślach rozedrgane ze zdenerwowania ręce. Zaciągał się pośpieszными, głębokimi haustami. Kiedy po minucie skończył, rzucił niedopałek niedbale przed siebie i sięgając po następnego papierosa, przemówił.

— Dziękuję, że się wszystkim zająłeś...  
Gabriel w odpowiedzi kiwnął tylko głową.  
— Czy... czy mówił coś, zanim... — kontynuował tamten.  
— Chciał z tobą rozmawiać, ale nie mogliśmy cię znaleźć.

Przez twarz bruneta przebiegł grymas bólu, a później złości.  
— Jak nie mogliście mnie znaleźć? Ponoć widzicie wszystko, więc co, do cholery, ma znaczyć, że nie mogliście mnie znaleźć?!

Anioł wzruszył ramionami i westchnął.  
— Zawsze zacierałeś za sobą wszystkie ślady. Stałeś się w tym o wiele lepszy od nas, Lucyferze. Zamilkli.

Gabriel przyjrzał się bratu i poczuł smutek na widok jego rąk oraz naznaczonego cierpieniem oblicza. Przypominał bardziej przerażonego chłopca, niż „Wszzechwładnego Imperatora Państwa Piekelnego”.

— Nie powinienesz tylko palić...

— Sądziś, że mnie to zabije? — odwarknął, po czym dodał już innym tonem — Czy cierpią?

— Nie — wąskie usta anioła uniosły się w delikatnym uśmiechu — Do ostatniej chwili był pogodny, rozmawiał z nami. Wynieśliśmy łóżko na zewnątrz, a Michał pokazywał sztuczki z tresowanymi smokami na smyczach. Pękaliśmy ze śmiechu. Nawet Syn.

— Właśnie, Syn. Gdzie on teraz jest?

— Nikt nie wie. Zniknął. Po prostu odszedł niedługo po... — urwał.

— Teraz przejmie tron, prawda?

— Nie wiadomo, nigdy tego nie chciał. Nie lubił rządzić, wolał służyć — anioł spojrzał uważnie na rozmówcę — Masz zamiar pretendować?

Lucyfer parsknął.

— Taaaa, klozetowy król śmierdzącej kloaki, wielki mi zaszczyt.

— Mógłbyś wreszcie pokazać, na co cię stać, zawsze miałeś tyle znakomitych pomysłów — w głosie zabrzmiała kpina.

Diabeł spojrzał na niego ze wściekłością i chwilę mierzyli się wzrokiem. Gabriel poczuł nieznaną uczucie kumulujące się w okolicach podbrzusza. Dopiero po chwili zorientował się, że to strach.

Pożałował nagle zostawienia broni w Świętym Mieście — w walce wręcz nie miał żadnych szans.

— Chcę go zobaczyć.

Sens słów za pierwszym razem nie dotarł do archanioła.

— Chcę go zobaczyć — powtórzył Lucyfer, po czym wstał i ruszył z dół wzgórza.

Po chwili wahania, jego towarzysz poszedł za nim.

\*\*\*

Gabrielowi od początku nie spodobał się pomysł umieszczenia trumny w sali tronowej. Wielka, wykonana z olbrzymich, marmurowych płyt, wydawała się potwornie zimna, zupełnie do Niego niepasująca.

Pokój Rozmyślań - tak, o wiele lepiej — pomalowany żywymi kolorami, ozdobiony wyszywanymi złotą nicią kotarami.

Sypialnia — również — to tam wielokroć przyjmował gości i przyjaciół, zwłaszcza, kiedy już podupał na siłach.

Sala tronowa stwarzała złe wyobrażenie, ukazując go po śmierci takim, jakim nigdy nie był za życia. Archanioł został jednak przegłosowany. Z siedmioosobowej rady, tylko Michał poparł jego pomysł. Azrael, Azrafael, Dedrach, Rafael, Szemkiel — wszyscy byli przeciwko.

Trumnę wykonano z kamiennych bloków, na których wypisano po hebrajsku Dziesięć Przykazań - najlepsze epitafium, jakie tylko mogli wymyślić.

Stała samotnie na środku sali, z której wyniesiono wszystkie krzesła, obrazy i ławy. Cały czas pełniła przy nich wartę dwójka aniołów, zmieniających się, co pięć godzin.

Teraz napięli się niczym struny, słysząc pozdrowienie Gabriela, jednak na widok towarzyszącego mu upadłego anioła, ich ręce odruchowo przesunęły się na rękojeści mieczy. — Wszystko w porządku, bracia — powiedział archanioł, unosząc dłoń — Syn marnotrawny wrócił pożegnać się z Ojcem.

Lucyfer skrzywił się słysząc to określenie, ale nic nie powiedział.

Otakował beznamiętnym wzrokiem obu strażników: nie znał ich, musieli należeć do aniołów niższego rzędu, powołanych do istnienia już po jego odejściu. Wyglądali jak bliźniacy, obaj umięśnieni i wysocy, z ogolonymi na łyso głowami. Nosili pozłacane, narzucone na gołą skórę kolczugi, metalowo-skórzane pseudo-gatki i sandały na bosych stopach. Do pasów przytwierdzili sobie pochwy z mieczami. A wszystko to jakby wybrane na chybił trafił, bez dbania o efekt czy użyteczność.

Strój, który w zamyśle miał przerażać, wywołał u diabła ironiczny uśmieszek. Tamci, zauważywszy to, nasrożyli się jeszcze bardziej. Zapadło nieznośne milczenie.

Chcąc je przerwać, Gabriel odchrząknął i przemówił:

— To jest Uziel, a to Barbiel — wskazał ręką najpierw anioła po prawej, a później po lewej — A to...

— Wiemy, kim jest - warknął Barbiel — Książę Ciemności, Władca Zgnilizny, Wielki Kusiciel, Zdradliwy Wąż, Zguba Świata...

— Wystarczy tych grzeczności — przerwał wypranym z emocji głosem Lucyfer — A teraz spieprzać, dzieciaki. Nie mam dla was czasu.

Tego było za wiele: strażnicy wyszarpnęli gwałtownie miecze i rozjuszeni ruszyli w kierunku diabła. Stepowali przy tym komicznie, wyprawiali przeróżne figury i piruety, zapewne mające zmylić atakującego wroga.

— Nie! — Gabriel próbował zastąpić im drogę, ale szatan odsunął go jednym ruchem ręki. Później wypadki potoczyły się błyskawicznie.

W mgnieniu oka rozżarzone do czerwoności główne roztopiły się z głośnym sykiem, skapując na podłogę.

Uziel wrzasnął i odrzucił samą rękojeść, przyciskając poparzoną dłoń do klatki piersiowej. Barbiel poszedł w jego ślady.

W ich oczach odbiło się przerażenie.

Pierwszy z nich otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążył. Jeden ruch ręką i obaj zawiśli na niewidzialnym sznurze, dwa metry nad ziemią.

Twarze strażników momentalnie poczerwieniały.

Lucyfer zaczął powoli zaciskać wyciągniętą przed siebie, otwartą dłoń.

Barbiel kwiknął, a z nozdrzy buchnęła krew. Majtał szaleńczo nogami, ze wszystkich sił starając się uwolnić.

Gabriel patrzył na to skamieniały. Jeden rzut okiem na Uzjela i okazało się, że drugi z aniołów już stracił przytomność.

— Lucyferze... - wyszeptał archanioł, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. Tamten powoli odwrócił na niego wzrok.

Osoba, która powiedziała, że w oczach szatana odbijają się ognie piekielne kłamała — można w nich dojrzeć tylko bezkresną pustkę.

Anioł poczuł, jak wciąga go do swojego wnętrza. Leciał w dół, prosto na spotkanie najgłębszej rozpacz, w miejsce, gdzie brakuje łez. Gdzie nie ma już nic. Usłyszał krzyk. Dopiero po chwili zrozumiał, że dobywa się on z jego własnego gardła. Opadł na kolana, ostatkiem sił zaciskając powieki. Strumień potwornych obrazów urwał się gwałtownie. Na moment. Na chwilę.

To jeszcze nie koniec.

„Otwórz oczka, braciszku” — szeptał głos w głowie. I kiedy wydawało się, że nic nie jest w stanie ukoić ten niewyobraźalnej furii, spojrzenie diabła niespodziewanie padło na otwartą trumną. Ciemne oczy zaszklily się. Głowa o kruczoczarnych włosach opadła w dół, wargi zadrżały. Wahał się. Wypuścił głośno powietrze. A później jednym celnym rzutem cisnął ciałami nieprzytomnych strażników przez otwarte drzwi. Skinienie palców — podwoje zatrzasnęły się, rygiel opadł. Zapadła cisza.

— Nic im nie będzie — mruknął szatan bardziej do siebie, niż do Gabriela.

Powolnym krokiem podszedł do trumny. Długo patrzył na twarz jedynej osoby, którą kiedykolwiek kochał. Potem opadł na kolana, przykładając czoło do zimnego marmuru. Zaczął mówić coś cicho, niewyraźnie.

Archanioł przyglądał się temu bezwolnie, nie mając nawet sił, żeby wstać. Czuł się tak bardzo zmęczony.

Co się stało ze strażnikami? Przyrzekł sobie, sprawdzić czy z nimi wszystko w porządku. Ale później, później, teraz nie, jeszcze nie teraz... Boże, jaki on był zmęczony...

Wpatrywał się w nieruchome plecy Lucyfera, jednak jego myśli uciekły gdzieś hen, daleko, poza granice czasu i przestrzeni.

Już kiedyś to widział, wiele tysięcy lat temu. Rajski Ogród. Dwie nagie, dygoczące postacie. Zawstydzeni, upokorzeni, przerażeni. I ten krzyk: „To ona, to ona, to wszystko przez nią!”. Ludzka natura, zawsze taka sama — byle nie ja.

Smutek Ojca. Kpiny Lucyfera. Walka. Krew. Krew na policzku brata, ognisty miecz w dłoni. Znowu krzyk.

I wreszcie koniec.

Anioł nie wiedział, co wyrwało go z transu. Dopiero po chwili zrozumiał, że słowo, dotąd szeptane przez diabła pod nosem, teraz nabrały olbrzymiej, niepojętej mocy.

Rozległ się huk.

Archanioł stracił równowagę i upadł twarzą na podłogę, która zaczęła falować, jak wezbrane morze. Marmurowe płyty wyginały się i skręcały, raz zbliżając się do kamiennej trumny, raz oddalając. Za ich przykładem poszły ściany, drżąc i tańcząc w rytm wyimaginowanej melodii.

Sala ożyła. Gabriel przyglądał się temu z fascynacją. Zaparł się rękami i nogami, starając się ze wszystkich sił utrzymać stabilność. Prawa dłoń Lucyfera zacisnęła się na brzegu trumny. Płynna, szkarłatna esencja żywiołu rozlała się po żłobieniach, wypełniając litery. — Jestem Prometeusz — dałem ludziom ogień...

W wielu miejscach marmurowe płyty wystrzeliły w powietrze, uwalniając pulsujące pod nimi gejzery lawy. Gabriel w ostatniej chwili zasłonił twarz, sycząc, kiedy ogniste krople poparzyły rękę. Na czworakach odsunął się w bezpieczne miejsce.

Rzygająca lawa zdawała się jednak nie przeszkadzać Lucyferowi, zatrzymywana w powietrzu przez niewidzialny parasol, zanim dotknęła jego lub trumny.

— Jestem Loki, Pan Fałszu i Kłamstwa...

Sufit sali wleciał w powietrze, wyrwany przez uderzenie potężnego wiatru.

— Jestem Tym, Który Niesie Światło...

Pomieszczenie trzęsło się i wibrowało, wstrząsana potężnymi uderzeniami.

— Jestem Lucyfer, Twój Kochający Syn...

Wyrwane ze ścian i podłogi płyty wleciały w powietrze, zderzając się ze sobą z niewyobrażalnym hukiem.

— Zmiłuj się nade mną.

Czas zamarł, a później ruszył wstecz. Z tysięcy kawałków z powrotem formowały się kamienne płyty, zatykając na koniec gejzery lawy. Sala stanęła nieruchomo. Dach wrócił na swoje miejsce.

Archanioł wypuścił z ulgą powietrze i zemdłał. Obudziło go dopiero silne uderzenie w policzek.

Z niechęcią otworzył oczy i zobaczył nad sobą pochylonego Lucyfera. Jego twarz była blada, zmizerniała — twarz starego, zniszczonego człowieka.

— Wstawaj, braciszku — odezwał się zachrypłym głosem — Nie pora leniuchować.

Po kilku próbach aniołowi udało się wreszcie podnieść na nogi.

— Co to... — zaczął, kręcąc oszołomioną głową.

— Ostatnia rozmowa, której nie zdążyliśmy nigdy odbyć... — diabeł uśmiechnął się smutno, chociaż w czarnych oczach nie było ani krzty radości.

Gabriel otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale tamten pokręcił przecząco głową.

— Nie tutaj - rzucił ostatnie spojrzenie w kierunku trumny — Słabo mi, chodźmy się przejść...

— Gdzie? — zapytał, chociaż już wiedział.

— Niespodzianka - tym razem uśmiechnęły się również oczy.

\*\*\*

— Mogłeś ich zabić — powiedział z wyrzutem Gabriel, starając się dotrzymać bratu kroku. Lucyfer w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

— Zawsze byłeś egoistą, wiesz?

— Dlatego ty jesteś ten dobry, a ja ten zły, braciszku.

Ulice Świętego Miasta były zatłoczone i gwarne, niezliczone szepty łączyły się w jeden wielki szum. Radość łączyła się ze smutkiem. Dawno niewidziani bracia i przyjaciele ściskali się, opowiadając koleje losu. Jednocześnie wszechobecna czerń nie dała nikomu zapomnieć, po co tu przybyli.

Nie było żadnych podziałów na gorszych i lepszych, upadłych i wybranych. Tylko stęsknione za sobą serca.

Archanioł przyglądał się temu ze zdziwieniem, ale także z pewną radością. Według niego rozłam nigdy nie powinien się zdarzyć. Chociaż po dziś dzień miał o to żal do Lucyfera, sam przed sobą przyznawał, że to nie była wyłącznie jego wina. Samael, Azazel, Astaroth — równie dobrze któryś z nich mógł poprowadzić rewoltę. Chociaż, zapewne, nie utrzymaliby jej sami przez tysiące lat.

Na środku Placu Targowego zgromadził się spory tłumek.

Lucyfer zawahał się chwilę, po czym ruszył w tamtym kierunku. Gabriel podążył za nim. Przy niewielkim, drewnianym stoliczku siedzieli naprzeciwko siebie uchodzący za najsilniejszego anioła Serafiel i Abaddon — mocarz wśród diabłów. Ich zbieleńczone palce spletały się ze sobą, pot ściekał na oczy. Raz po raz, któryś przeważał szalę zwycięstwa na swoją stronę. Brodata twarz Abaddona wykrzywiała się w uśmiechu, z oczu świeciło szaleństwo. Serafiel stanowił oazę spokoju, — Siłowanie na rękę — powiedział z odrazą Gabriel, spoglądając Lucyferowi przez ramię — Nie mają wstydu.

Trzeba to przerwać... — Zostaw — usłyszał w odpowiedzi — Większość z nich nie widziała się tysiące lat, a nie wiadomo, czy kiedykolwiek tu wrócimy. Niech się sobą nacieszą.

Archanioł poczuł ucisk w sercu.

— Być może niektórzy zechcą zostać.

— Wykluczone. Wszyscy wrócą ze mną — diabeł nawet nie odwrócił głowy.

— Jak na piewę wolnej woli, krótko trzymasz swoich ludzi.

— Demokracja to luksus, na który nie mogę sobie pozwolić. Chodźmy.

Szli w milczeniu w stronę Głównej Bramy. Gabriel zauważył, że Lucyfer przygląda się

wszystkiemu z zaciekawieniem, najwidoczniej próbując doszukać się znajomych kształtów, pośród nowych budowli.

— Wiele się tutaj zmieniło. I nie mówię tylko o urbanistyce — wskazał mijającą ich anielicę - liberalnie.  
Kobieta? Strasznie tu teraz  
— Ojciec doszedł do wniosku, że ciężko żyć samotnie.  
— Ale sam nigdy nikogo nie miał...  
— Miał nas.

Lucyfer nie odpowiedział.

Wyszli właśnie poza mury miasta, przed nimi rozciągała się płaska równina. Gdy diabeł przyklęknął i oparł ręce o ziemię, Gabriel spojrział na niego zaciekawiony.

— Będiesz teraz ćwiczyć pompki?  
— Co powiesz na mały wyścig? — łobuzerski błysk w oku — Jak za dawnych lat. No więc, staruszkule?

Anioł parsknął śmiechem.  
— Jesteś niemożliwy. Ty nigdy nie dorośniesz.

Mimo to przyjął pozycję obok brata.  
— A w nagrodę...?

— A w nagrodę zwycięzca będzie mógł sobie narwać w sadzie tyle jabłek, ile uniesie — rzucił Lucyfer i już go nie było.

\*\*\*

Wygrał Gabriel - jak zawsze.

Po wszystkim usiedli pod największą jabłonią w Rajskim Ogrodzie, z trudem łapiąc oddech.

— Oszukiwałeś - wydyszał Lucyfer, pomiędzy jednym haustem powietrza, a drugim.

— Tere-fere - usłyszał w odpowiedzi i obaj upadli na murawę, zaśmiewając się niczym dzieci.

Diabeł wydobyl z kieszeni sfatygowaną paczkę Pal Mali. Wyciągnął jednego papierosa, po czym przyglądał mu się dłuższą chwilę. Wreszcie wyrzucił go daleko przed siebie, a zaraz potem jego los podzieliło całe opakowanie.

Gabriel nie skomentował tego, tylko oczy mu pojaśniały.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu.

— Wiesz — mruknął lekko schrypniętym głosem Lucyfer — Kiedy nie mogę w nocy zasnąć, lubię wracać myślami do dawnych czasów. Rozpamiętywać wszystko, kawałek po kawałku, jak klatki zatrzymanego filmu.

Poderwał się na równe nogi.

— Po tym drzewem - mówił teraz o wiele głośniejszym głosem — Dokładnie tam, gdzie siedzisz, posiadam moją pierwszą kobietę. Swoją drogą, dla niej to też był debiut...

— Czy jej mąż kiedykolwiek się dowiedział? — Gabriel przeniósł się nieco w prawo.

— Że Kain jest moim synem? Nie — pełne pogardy prychnięcie — Biedny, przygłupi Adam. Nie potrafił zliczyć, ile głów ma na karku, a co dopiero określić prawidłowego czasu ciąży.

Oparł się rękami o pień, plecami do anioła.

— Cholera, dałem im wolność, a oni spieprzyli to doszczętnie — w jego głosie pobrzmiwała gorycz.

— Dałeś im tylko wiedzę.

— A czego chcesz więcej? — odwrócił się gwałtownie.

— Wiary.

Diabeł potarł brodę, jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał, po czym ruszył wolnym korkiem w kierunku anioła.

— Wiary, powiadasz — schylił się, podnosząc z ziemi czerwony, dojrzały owoc — Wiara w człowieku jest niczym robak w jabłku: przeżera go dopóki nie stanie się tylko bezwartościową, rozlazłą papką.

Wtedy opuszcza bezużyteczne ciało, ale dla nieszczęśnika jest już za późno.

Z otworu w nieskazitelnej, soczystej powłoce, wysunął się niewielki, różowy kształt, wyglądający ciekawsko na świat.

— O wilku mowa - parsknął diabeł, kiwając przed łebkiem stworzenia zagiętym palcem — A ti-ti-ti, ty ci skurwysynku, powiedz szczerze, jesteś wiarą tego jabłka?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zniechęcony, upuścił owoc na ziemię. Stał teraz ledwie metr od siedzącego na trawie anioła.

— Wiesz co? To malarstwo o czymś mi przypomniało... Patrz.

Ostłupiały Gabriel przyglądał się Lucyferowi, który zaczął rytmicznie kołysać się na boki, ze wzrokiem wbitym tępo przed siebie. Uniósłszy głowę do góry, coraz szerzej rozwierał szczękę, tak, że wydawało się, że jeszcze chwila i pękną z potwornym trzaskiem. Spomiędzy warg wysunął się długi,

rozwidlony język, obłapiając całą twarz. W pewnym momencie znieruchomiał, niczym czółka u owadów, nakierowany wprost na anioła. Oczy Lucyfera były puste i pozbawione wyrazu, z ich kącików sączyła się krwawa wydzielina.

I wtedy nastąpił nagły błysk, tak, jakby z wnętrza diabelskiego brzucha wystrzeliła błyskawica, a cała postać momentalnie zaczęła się kurczyć, wciągana do wewnątrz.

Przemiana trwała najwyżej ułamek sekundy, po którym przed archaniołem prężyła się dumnie królewska kobra.

Nie przypominała ona jednak w żadnym wypadku którejkolwiek ze swoich ziemskich krewniaczek, o co to, to nie. Rozmiarami przewyższała nawet słynne morderczynie z amazońskich dżungli, wielkie anakondy. Łuski gada lśniły na złocisto w promieniach zachodzącego słońca, miejscami tylko poprzecinane zawiłymi wzorami, wykonanymi z leżących jeden koło drugiego, niewielkich diamentów.

— Co sądzisz? - kobra przemawiała bez otwierania paszczy, przesyłając słowa bezpośrednio do umysłu anioła. Pomimo to, brzmienie jej głosu było nadzwyczaj syklowe i niewyraźne. Być może, dla zachowania efektu, Lucyfer specjalnie je takim pozostawił.

— Imponujące - odpowiedział zgodnie z prawdą Gabriel.

— Nieprawdaż? — wąż rozłożył olbrzymi wachlarz o krwistym zabarwieniu - Chociaż wy, tu, na górze, nie przepadacie za gadami: Święty Jerzy i Smok, Rajski Ogród i Wąż. Swoją drogą, jaki debil wymyślił, że spółkowałem z Ewą w tej postaci? Niby jakbym miał to zrobić? Zapchać ogon w...

Twarz anioła nabrała ceglastego koloru.

Nie umknęło to uwadze Lucyfera.  
— Speszyłem cię, braciszku? — głos ociekał ironią — Ależ przepraszam. wracając do tematu, powiedz mi, co ludzie mieliby z tą wiarą zrobić, hę? Wydumać kolejne jabłko? Po kilkudziesięciu tysiącach lat twój wierzący lud nie odkrył istoty rzeczy. Opowiadają sobie historyjki o czerwonych owocach na drzewie, a nikt nie zrozumiał, że chodziło o prostą możliwość wyboru: wierność lub rozkosz, obietnica — pokusa. Czy to naprawdę takie trudne?!

Olbrzymie cielsko wystrzeliło do przodu, błyskawicznie owijając się dookoła drzewa. Łuski zdzierają korę z przyporządkowanym o ciarki chrzęstem. Gad wysunął trójkątną głowę w kierunku Gabriela, nieruchome oczy wpatrywały się w niego czujnie.

Anioł z trudem przełknął ślinę.  
— Chodzi o symbol Lucyferze. Dzięki niemu mogą...

— Dzięki niemu mogą co? — rozległ się pełen furii syk — Kilkadziesiąt tysięcy lat i nie wiedzą, że mają wolną wolę. Mogą wybierać, nie muszą się nikomu kłaniać, nikogo prosić o łaskę, byleby tylko nie leżeli niczym bezwładne kłody w nurcie historii! Byleby tylko chcieli...

Rozwidlony język gwałtownie wysunął się, badając powietrze.  
— Ojciec był w błędzie. To nie są istoty wyższe. Co ja mówię, to nie są nawet myślące zwierzęta, oni są gorsi od zwierząt! Jeżeli zostawić ich samych, bez dania wskazówek, założą sobie niewolnicze kajdany. Albo rozpieprzą wszystko wokół. Wasze baranki boże to mięso na odstrzał!  
— Więc zapewne twoje „wilki” to opus magnum ludzkości? — warknął anioł, ze wzbierającą złością.

Zapadła nagła cisza. A później śmiech, szczery, jazgotliwy śmiech.  
— Tu mnie masz, braciszku, tu mnie masz — wstrząsana rehotem, trójkątna głowa kiwała się na boki — No dobrze, spójrzmy więc na moje wilki!

Z pyska wysunął się obłok gęstej pary, przybierając w powietrzu kształt kwadratu o kilkumetrowych bokach. Powietrze wewnątrz niego zgęstniało, tworząc obraz wielkiego budynku, wyglądającego jak kiczowata parodia katolickiego kościoła: spadzisty dach z przytwierdzonym do niego odwróconym krzyżem, witraże, na których zamiast świętych można było rozpoznać kopulujące pary, smoliste ściany.

Obraz zamigotał i nagle ukazało się wnętrze.

Dziesiątki ubranych w czarne habity mężczyzn i kobiet, leżących plackiem, wałących pokornie głowami o posadzkę. Z przodu ołtarz, na nim zaś — nagi kapłan, naga wyznawczyni i kozioł.

Kapłan chwytając rozżarzony do czerwoności pręt do znakowania bydła z przymocowanym do niego pentagramem i...  
Anioł wzdrygnął się i złapał za żołądek, chcąc z całych sił utrzymać śniadanie tam, gdzie jego miejsce.

Na szczęście obraz, zamigotawszy, znowu zaczął przedstawiać budynek z zewnątrz.  
— Widzisz, braciszku — wydierał się Lucyfer — Oto mój lud, moi nadludzie, moi Übermensche. I co powiesz?

Pewnie, gdyby miał teraz ludzką postać, rozłożyłby charakterystycznie ręce na boki, czekając na odpowiedź. Ale on jedynie zastygł w bezruchu. Gabriel z kolei, skupiony na galopadzie w trzewiach, nie mógł sklecić nawet jednego zdania. — Święte słowa, braciszku, święte słowa! Sam tak zareagowałem za pierwszym razem. Ale wiesz co? Można się przyzwyczaić. Po paruset latach można nawet ujrzeć coś pięknego w tym dwunogim, całującym kozła w dupę bydłociu. Tylko po co?!

Diabeł zaczął chichotać, obłąkańczo, piskliwie.

W pewnym momencie gwałtownie urwał, a węzowe ciało szarpnęło do się do tyłu, by już ułamek sekundy później wyrzucić przed siebie trójkątną głowę. Z szeroko otwartej paszy wyleciała wielka kula ognia i przebiwszy falujący obraz z głośnym plaśnięciem, poszybowała niczym meteoryt prosto do celu.

Obraz wypełniły płomienie. Gabriel schował głowę pomiędzy kolana, chroniąc uszy przed hukiem.

— Dwie setki smażonych satanistów, raz !- ryknął Lucyfer. Kolejny błysk i sekundę później rozciągał się w ludzkiej postaci na zielonej trawie. Anioł wiedział, że powinien coś zrobić. Powstrzymać brata, pouczyć, zakazać kolejnych aktów okrucieństwa.

Nie zrobił jednak nic.

Siedzieli więc obok siebie, wpatrzeni w płonące zgliszczą kościoła, w astralną transmisję z akcji ratunkowej. Karetki wywoziły jedno zwęglone ciało za drugim. Robota szła nadzwyczaj opornie, gruz był ciężki, ogień jeszcze całkowicie nie wygasł. Dookoła zebrała się grupka gapiów, oddzielona od ekipy ratunkowej cienką taśmą, a ich podniecone głosy brzmiały niczym bzyczenie rozwścieczonych owadów.

W pewnym momencie podjechały dwie spore furgonetki, rozpychając na boki zgromadzonych ludzi. Ktoś głośno zaprotestował, ale zobaczywszy widniejący na ścianie samochodu symbol zamilkł, a następnie wmieszał się w tłum.

Gabriel z odrazą przyglądał się wizerunkowi czarnego miecza, namalowanego tak, aby przypominał chrześcijański krzyż. Lavetanie — Zakon Braci Zbrojnych, wierni kontynuatorzy tradycji krzyżackich, czasów ognia i miecza. Tolerowani przez większość państw europejskich, a przez niektóre wręcz ubóstwiani.

Przyglądając się uzbrojonym w karabiny maszynowe mnichom, anioł pomyślał, że być może jego brat ma jednak rację. Być może ludźmi należy sterować, niczym bezrozumnymi maszynami. Szybko jednak odegnał tę myśl.

Widok czarnego oręża przywołał jednak serie wspomnień, wciskając na usta zaskakujące dla niego samego pytanie.

— Lucyferze...  
— Hę?

— Co się stało z mieczem?

Zapytany zamrugał szybko oczami, na jego twarzy odbiło się zdziwienie.

— Z jakim mieczem? — strząsnął gwałtownie ze spodni niewielkiego żuczka.

— Z tym, który zabrałeś mi tuż po wypędzeniu ludzi.

Diabeł bezwiednie przeciągnął palcem po znaczącej policzek bliźnie i wyszczerzył radośnie zęby.

— Aaaa, tym ognisty? Mam go do dzisiaj, wisi w sypialni. Dorobiłem włącznik i służy za lampkę nocną.

Anioł zastonił usta.

— Przecież to świętość, symbol kary i sprawiedliwości... — jęknął.

— Możesz go sobie wziąć, strasznie kopci.

— Miałbym zejść w czeluści...

— Nie zapomnij tylko o kilku zgrzewkach browaru, to zrobimy imprezkę. Załatwię takie laski, że nawet twoja anielska bezpłciowość wstanie z martwych i zaszaluje...

Gabriel, urażony, skubnął nerwowo kilka źdźbeł trawy. W pewnym momencie, wyrwawszy całą garść, sukcesywnie zaczął odrzucać po jednym. Pójdę, nie pójdę, pójdę, nie pójdę...

Archaniołem targają sprzeczne emocję. Miał wielką ochotę, chociaż raz w życiu, zobaczyć słynne Księstwo Piekielne, o którym tutaj, na górze, mówiło się tylko szeptem. Za nic w świecie nie był jednak w stanie podjąć samodzielnie decyzji, czuł się jak małe dziecko, pozostawione samotnie w nieznanym mieście.

Zresztą nie on jeden. Wiedział, że ten problem dotyczył wszystkich niebiańskich braci. Przez wieki przeszkalani do służby, pokory i współpracy, byli najlepszymi wykonawcami woli Ojca, nieomylnymi i niezawodnymi. Ale kiedy zabrakło Boga, nie było już komu wydawać rozkazów.

„Wszyscy jesteśmy skazani na zagładę”, pomyślał po raz kolejny już od kilku dni. Potrząsnął głową, aby odgonić ponure myśli i spojrział podejrzliwie na Lucyfera. Czyżby to on ponosił odpowiedzialność za tę falę zwątpienia? Narzucał swą wolę, tak samo jak w sali...

Diabeł nie wydawał się jednak zainteresowany przemyśleniami brata. Podniósł leżący na trawie kamyczek i cisnął w nim obraz. Kawałek skały odbił się z głośnym brzękiem od wozu strażackiego. Chwycił — następny — i zamarł — w pół — ruchu. — Na — co — właściwie — umarł? Brzdęk. Kolejne trafienie.

Gabriel — uniósł — rękę — do — góry. Obraz zamigotał i rozszczepił się w sześć bliźniaczych kwadratów, ustawionych w rzędzie. Z każdego z nich spoglądała odmienna twarz: czterdziestoletni, łysy facet o czerwonej twarzy i przekrwionych oczach. Grubas z wąsami, o obwisłych policzkach, z kurczawką na nosie. Rudowłosa piękność, o równiutkich, przypominających perełki zębach, z krzyżykiem na szyi. Siwa staruszka. Długowłosa dwudziestolatek, trzymający w ręku Biblię. Mała, kilkuletnia dziewczynka, o niezwykłych, szafirowych oczach.

— Kto — to? — Jego wyznawcy - Gabriel wpatrywał się we wszystkich kolejno, z wyrazem bóleści — Ostatni — którzy — naprawdę — wierzyli. — ?

— Vladimir Jagodny — wskazał palcami łysego pijaczka — Kiedy jego żona zginęła w wypadku, wolał oddawać cześć butelce z denaturatem. Użył połamanego krucyfiks jako podpałki do pieca. Jacek Koralewicz, ten z długimi włosami. Syn znanego biznesmena, porwany dla okupu. Ojciec nie zapłacił, porywacze żywcem obdarli go ze skóry i przesłali rodzicom. Frida Cortez — siedmioletnia ofiara zbiorowego — gwałtu. — Czterech — pedofilów... — Dość — Lucyfer przerwał mu ruchem ręki, wyglądał na wstrząśniętego — I... Ojciec na to pozwolił? Dlaczego?

— Za słabo wierzyli, nie miał już sił, żeby ich bronić. A kiedy zgasł ostatni promyk wiary, zgasł i On.

Zawiał silny wiatr, unosząc w górę pojedyncze liście. Sześć kwadratowych obrazów wzdymało się niczym żagle, by w pewnym momencie pęknąć na kształt baniek mydlanych i pod postacią setek błyszczących — fragmentów, — poszybować — w górę. Lucyfer opuścił głowę na pierś i zaczął nucić cichą, monotonną melodię.

Dopiero po chwili Gabriel rozpoznał w niej kołysankę, śpiewaną przed wielu laty przez Ojca, podczas letnich wypraw na ryby. Siedzieli wtedy pod drzewem podobnym do tego, na brzegu strumienia, z najprostszymi wędkami świata, zrobionymi z kija, kawałka sznurka i niewielkiej przynęty.

Każdą — odłowioną — rybę — całowali — na — znak — przyjaźni — i puszczali — dalej. Strawa nie była im potrzebna.

Anioł obrysował palcem kształt, wewnątrz którego powietrze momentalnie zaczęło gęstnieć. Po chwili — zmateriałizował — się — w — nim — okrągły, — złoty — przedmiot. — Masz — wręczył go bratu, nie podnosząc wzroku.

Była to niewielka, jakby wykrojona na dziecięcą głowę korona, płaska z jednej strony, a poznaczona trójkątnymi ząbkami z drugiej. Każdy z nich ozdobiono czerwono-krwistym rubinem, zaś na jej przedzie widniał wykonany niewielkimi, ułożonymi tuż koło siebie diamentami symbol: olbrzymi — wąż, — w — furii — pożerający — kulę — ziemską. — Moja korona - mruknął — Lucyfer — Myślałem, że już dawno przepadła... — Ojciec ją zachował. Trzymał ją w swojej sypialni, na tej samej półce, co kielich z Ostatniej Wieczerzy. Każdego siódmego dnia odpoczywał, pucując je i nabłyszczając. Uśmiechał się wtedy do nich i śpiewał.

Palce Lucyfera raz po raz przesuwają się po wykonanym z diamentów symbolu. Zauważywszy, że — Gabriel — się — mu — przygląda, — zrobił — komiczną — minę. — Popatrz, ważzzz - zasyczał znajomym głosem.

Anioł — prychnął — rozbawiony. — Dobra, komu w drogę... — Lucyfer wyprostował się tak gwałtownie, że nogi zatrzeszczały w stawach — Lepiej nie zostawiać moich chłopców bez nadzoru na tak długo, jeszcze przez przypadek spalą miasto...

\*\*\*



Jak okiem sięgnąć, cały Plac Targowy — wszystkie ulice i dachy — zapchany był żegnającymi Stwórcę aniołami. Tymi bardziej upadłymi i tymi mniej.

Roily się, szeptały, wzdychały i płakały. Niektórzy kopcili jak szaleni papierosa za papierosem — diabły otwarcie, skrzydlaci — cichaczem, niczym przerażone uczniaki. Zapach tytoniu mieszał się z wonią alkoholu i marihuany, pod nogami chrzęściły porozbijane butelki. Niebiańskie stworzenia próbowały zagłuszyć wszelkimi dostępnymi sposobami dudniący łomot przerażonych serc, obawę przed nieznanym. Patrząc wokół wzrokiem urodzonych w niewoli zwierząt, które dopiero teraz wypuszczono na wolność, wydzielały najintensywniejszy fetor świata — smród strachu. Niczym pszczoły — bezradne i zagubione, gdy odebrać im królową.

Złotowłose, pyzate cherubinki nadskakujące lizusowsko ponurym, piekielnym wataszkom stanowiły powszechny widok. Podobnie podchmielone anielice, z porozpinanymi dekoltami, czepiające się desperacko umięśnionych, smagłoliczych braci z dolnego świata.

Każdy szukał protekcji silniejszego.

Rada Siedmiu znajdowała się w rozsypce, anielskie autorytety karłały w zastraszającym tempie. Może, jak sądzą niektórzy, nadszedł czas żeby zmienić stronę?

Lucyfer był przekonany, że wróci do swojego księstwa ze światą znacznie liczniejszą, niż ta, z którą przybył. Ale to go nie martwiło, miejsce zawsze się znajdzie. „Nawet w kotle” - zażartował w myślach, po czym spojrzał w górę.

Platforma, na której ustawiono trumnę robiła naprawdę imponujące wrażenie: wysoka, ozdobiona girlandami kwiatów, nie jakiś zasranych chryzantem, tylko fiołków, lili, róż, żonkili. Może niezbyt gustownie, ale na pewno uroczko.

Samą trumnę, zamkniętą i zaplombowaną, umieszczono na specjalnym stelażu, który miał jej ułatwić ostatnią podróż. Nad nią zaś górował fałszujący chór Rady Siedmiu - nijakich, anielskich możnowładców, zbyt słabych i skłóconych, żeby popychać interes dalej.

„Niebo, to już historia” — głosił nabazgrany sprayem na boku platformy napis. Coś w tym musi być... Czerwona, napuchła od słońca twarz Rafaela przyprawiała Lucyfera o mdłości. „Boski Podnózek” — tak nazywano go za plecami. Niski, otyły, z mocno przerzedzonymi włosami. Z olbrzymim parciem na władzę, olbrzymim ego, olbrzymimi kompleksami i żadnymi szansami, żeby przetrwać choćby rok u władzy.

Diabeł odwrócił z obrzydzeniem wzrok od „Podnózka”, kiedy z kącika jego ust nie opacznie pociekła ślina i spojrzał na Gabriela. Ten przymrużył oczy i kiwnął przyjaźnie głową. Szatan zastanawiał się chwilę czy nie odpowiedzieć, ale zrezygnował.

Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie za ramię. Zmarszczył brwi, widząc powykrzywianą, zgarbioną postać Azazela. Rozczochrane włosy sterczały, każdy w innym kierunku, długi czerwony nochal wciągał niespokojnie powietrze, a żółtawe, przywykłe do szpiegowania oczka zwęziły się w cienkie szparki. Kiedy otworzył usta, doleciał z nich odrażający odór zgnilizny i przetrawionej gorzały.

— Są słabi - zaszeptał, rozglądając się konfidencjonalnie na boki — Są słabi, Lucyferze. Bez problemu ich pokonamy. Wreszcie możemy wywołać drugą rewoltę. To nasz czas!

— Nie — wrócił do wpatrywania się w widowisko. Ale przecież... Zastanów się — Azazel wydawał się kompletnie zбитy z tropu.

— Powiedziałem: nie.

— Skoro tak sądzisz — głos stwardniał — Niemniej ja i moi ludzie zamierzamy...

— Tak? — powiedział Lucyfer pochylając się do przodu, jego oczy rozbłysły czerwienią. Jednocześnie wysłał w przestrzeń pojedynczą myśl.

Tyle wystarczyło.

Wśród zebranych zapanowało poruszenie, gdy olbrzymi, pachnący zgniłymi rybami Lewiatan przeciskał łeb w kierunku swojego pana. Jako jeden z niewielu mieszkańców piekieł nie przybierał nigdy antropomorficznej postaci. Niektórzy twierdzili nawet, że nie był w ogóle diabłem, tylko jednym z dawno zapomnianych, pogańskich bóstw, przygarniętym przez Lucyfera.

Jakakolwiek była prawda, nie zmieniało to faktu, że Lewiata budził powszechne przerażenie. Nawet, kiedy się kurczył, jego długość sięgała dziesięciu metrów, a garnitur ostrych niczym sztylety zębów największego śmiałka przyprawiał o palpitacje serca.

Z wyglądu najbardziej przypominał osławionego Smoka z Komodo, ozdobionego jednak dodatkowo długą, postrzępioną płetwą na grzbiecie, która w chwilach zdenerwowania nabiegała krwią, nabierając wściekłe czerwonego koloru.

I ten oto stwór ustawił łakomą paszczę tuż za plecami buntownika.

Azazel nie był tchórzem, o co to, to nie. Wytrzymał ponury wzrok Księcia Piekielnego, odwzajemniając się równie złowróżbnymi błyskami i powarkiwaniem. Kiedy jednak poczuł na plecach gorący, cuchnący przeżutymi łososiami oddech, pot wystąpił mu na czole, a ręce zaczęły dygotać.

Przełknął głośno ślinę.  
— Jak sobie życzysz panie — szepnął tylko i wymknął się bokiem, ze wszystkich sił starając się nie oglądać.

Lucyfer wyciągnął dłoń, bezwiednie drapiąc Lewiatana po pysku. Ten zaświergotał radośnie.

Diabeł po raz kolejny w ciągu kilku ostatnich dni, powrócił pamięcią do przeszłości, Rajskiego Ogrodu i Wielkiej Rewolty.

Ojciec mylił się od samego początku — świat nie mógł istnieć jedynie z jednym biegunem, ze Świętym Miastem. Potrzebna była dla niego równowaga — Państwo Piekielne, niczym jing i jang. Gdyby nie Powstanie Upadłych, wszelki byt już dawno przestałby istnieć, pograżając się w bezkresnym chaosie. Materia rozpadłaby się niczym ułożony przez niewprawne dziecięce ręce domek z kart. Lucyfera nieraz zastanawiał się, co powiedzieliby dociekliwy, ludzcy teologowie, dowiedziawszy się, że skazując ich na przysłowiowe piekło, jednocześnie ocalił cały rodzaj ludzki od zagłady. Ta myśl niezmiernie go bawiła.

Poczuł kolejne szarpnięcie za ramię.

Tym razem spokój zakłócał mu Lewiatan.. Jaszczurzy potwór warknął i machnął łbem do góry. Lucyfer pomimo świetnego wzroku, musiał się sporo natrudzić, żeby dojrzeć to, co mu wskazywano.

Po kolei rozpoznawał wszystkie sylwetki: Mamon, Blichtr, Sława. Blond-włosa, ubrana jedynie w czerwoną, koronkową bieliznę kobieta to Sex. W niskim, przygrubawym, wciśniętym w tandetny garnitur i poplamiony krawat faceciku rozpoznał Ignorancję — jak zwykle starała się wyglądać o wiele inteligentniej, niż to miało miejsce w rzeczywistości.

Nowi bożkowie, usadziwszy się w bezpiecznej odległości na wzgórzu Anavan, przyglądali się wszystkiemu z tryumfalnymi minami.

„Oto Panowie Tego Świata”, pomyślał z przekąsem diabeł, „Banda żalonych, krótkowiecznych błaznów, zawsze stojących w kolejce do koryta”.

Rozważał przez chwilę czy nie wypuścić w ich stronę ognistej kuli, w końcu jednak zaniechał tego pomysłu. Ojciec zmartwiłby się wiedząc, że dniu, w którym powinien go uczyć, wywołał walkę i przelał krew.

Zresztą, to tylko jeden dzień — jeszcze tyle ich przed nami.

Kątem oka zauważył nagły ruch po prawej. Popatrzył w tamtą stronę i jego wzrok napotkał spojrzenie odzianego w metalową kolczugę Abadona.

Zwycięzca zawodów na Placu, uniósł powoli ręce na wysokość brzucha i uderzył kilka razy energicznie kantem prawej dłoni o otwartą lewą.  
„Rąbamy, szefie?” przesłał wiadomość, mając na myśli pyszałkowate bóstwa. Lucyfer wyszczerzył zęby i pokręcił delikatnie głową.

Wzruszywszy ramionami, Abadon, z nadzwyczaj zawiedzioną miną, wrócił do oglądania ceremonii.

Aniołowie właśnie zakończyli zbiorowe fałszowanie, rozpoczynając długie, nudne przemowy.

Najpierw Rafael: słowa z anielskich ust wylewały się niby mulista woda ze ścieku i były równie przejrzyste. „Obowiązek”, „misja”, „nie poddawać się” a później zmiana szyku i dawaj od początku. Reszta starała się podążać za jego przykładem. Jedynie Gabriel się wyłamał, wypowiedziawszy tylko jedno zdanie: — Żegnaj, Słońce Świata...

Wreszcie otworzono portal, nieznośny żar buchnął na ulice Świętego Miasta, powalając kilka bliżej stojących aniołów. Ulotna powierzchnia najsłynniejszej z gwiazd falowała, spalając się jasnym blaskiem.

Wiele osób zasłoniło twarze, chroniąc się przed ognistymi powiewami. Ale nie Lucyfer.

On patrzył cały czas, nie chcąc stracić nawet milisekundy. Kolejne obrazy, niczym zwolnione klatki z filmu, wypalały się w pamięci, pozostając tam na wieczność. Jeszcze nieraz będą go nawiedzać podczas nieprzebranych, bezsennych nocy. Ale o tym, nie powie już nikomu

Na komendę Rafaela, trumnę zwolniono z zaczepów. Przebiła z cichym plaśnięciem pole i poszybowała powoli, ku przeznaczeniu. Wszyscy zebrani wstrzymali oddech.

Najpierw nic się nie działo, kamienna kapsuła leciała, leciała i leciała. Coraz mniejsza, stając się w końcu jedynie niewielką plamką, na tle rozżarzonego kłębowiska gazów. Aż wreszcie, gdy co mniej

odporni zdążyli wypuścić powietrze, nastąpił niespodziewany wybuch, od którego zatrzęsły się ściany Świętego Miasta. Olbrzymia fala żaru na setkach twarzy osuszyła ły.

Tego dnia ludzcy astrologowie zarejestrowali anormalną eksplozję na powierzchni Słońca. W celu jej wyjaśnienia wysunięto dziesiątki teorii. Żadna nie była prawdziwa. Gabriel, już po wszystkim, przypatrując się powoli przeredzającemu tłumowi, zauważył, że nie ma w nim Lucyfera.

\*\*\*

Wiedział, że go tu znajdzie. Siedział zamyślony pod drzewem, jedną ręką nieustannie podrzucając dojrzałe, czerwone jabłko.

Jego wzrok był wbity w pozbawione chodźmy jednej chmurki, nocne niebo, na którym — tak mu się wydawało — gwiazdy świeciły najjaśniej od setek lat. Albo, być może, to on zdążył odwyknąć od ich piękna?

Już z daleka usłyszał zbliżające się kroki, ale w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. — Nareszcie koniec — westchnął Gabriel — Teraz jakoś musimy poskładać to wszystko do kupy. — Odejdź. — Nie sądzisz... — Odejdź! — głos nabrał ostrości.

Archanioł zawahał się chwilę, po czym ruszył drogą powrotną do Świętego Miasta.

I tak potrzebował nabrać sił — tego dnia miała odbyć się jeszcze wieczorna msza, a później nocne czuwanie. Lucyfer trwał w bezruchu, aż mroki nocy całkowicie skryły go pod swoim płaszczem. Dopiero wtedy, odrzuciwszy gwałtownym ruchem trzymany owoc, schował głowę w ramionach i załkał. Jego ogniste ły zsuwały się po firmamencie, tworząc najwspanialszy deszcz meteorytów, jaki kiedykolwiek miał miejsce.

Gdyż widzicie, że nawet diabeł zapłacze w dniu, w którym umrze Bóg.

**Kamil Szpyt**

Student prawa

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 06-11-2009)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6918) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6918>)

Contents Copyright © 2000-2009 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2009 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem. Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)